

Krzysztof Siwczyk

Wschód od zachodu

Światły przewodniku, gdzie chlew?

My, anonimowi respondenci twojej sprawy,

Spoglądamy w ciebie z dołu, skulona masa waruje nocą.

Potem zaczyna się etnocyd, płynie przez nas rumiany wrzątek dni,

Dodaje nam konsystencji prosiąt, wycina bruzdy, które obnosimy po bożnicach,

Mamrocząc zaklęcia, chichocząc jak zaraza na progu biblioteki.

Palec Boży, rylec pracujący w mule, pusta kazalnica i

Plamy blasku na okładkach nieba.

To jeszcze możemy unieść.

Sytuacja po wszystkim

Dalej nadaje zawiedziony kolekcjoner, porzucony pchli targ w dole
Pokutnej wieży, na ścianach murale starej propagandy i słońce
W ocienionej oazie łez, które wylewa sprzedawca mieczników,
Właściciel głów, kat psów, wzorowy ojciec statystycznej rodziny,
O której myśli się zazwyczaj dobrze, tak jakby był to powód
Do zadowolenia, do kondolencji przekazywanych pokątnie jak haracz.

Oto sytuacja po wszystkim, czego mogłem oczekiwać od siebie.
Dopisawszy parę uwag na marginesie zmysłów, zabieramy się
Z powrotem do domu, gdzie czeka na nas kot szybki jak zapis
Końca, od którego wymagamy mniej niż to, co może nam powiedzieć.

Ludzie bazowi

Wiem o ludziach bazowych, zasnęli. Zamieszkują w przeciwświecie, w ciałach ciepłych niczym opuszczone w pośpiechu gawry, spustoszone zbyt silnym nurtem żeremia, nic więcej nie łączy ich z obrazem natury, jaki znałem z topornej kreski podręczników, które pisała instytucja kultury, w punktach skupu makulatury i butelek był ruch, można było coś wymienić, zaproponować sobie dowolną przyszłość, tryb przypuszczający, cywilny cmentarz, wykopki. Ludzie bazowi idą w widmowej procesji, niosą sztandary łaski, stacjonują w snach. Wymieniają mnie w niemych przemówieniach, wskazują właściwy kierunek, są niekonieczni w każdej postaci, jednak przyjmują ich apel, wychodzę naprzeciw oczekiwaniom ludzi bazowych, którzy chcą języka, pragną mówić o tym, co ich spotkało, niczym głosem. Żaden wymowny świat nie przypadł im w udziale. Najpierw wyszli w morze błota, potem opadł z nich entuzjazm. Dni stawały się opasłe jak archiwum państwowe, o tej samej porze to samo słońce topiło lód w rynnach przetwórnici. Szli na taśmę, sprasowani pełgali na blok, mnożyli się pod szorstkim kocami. Ludzie bazowi uprawiali sztukę mruzczenia w świątyniach bogów nikłych jak księga skarg i zażaleń, do jakiej wpisywali imiona utraty. Na tej stronie ślad się urywa. Tyle wiem o ludziach bazowych. Ta wiedza w niczym nie oddaje radości ze spotkania, kiedy milczymy w głębi płytkiej jak tu ziemia.

Światowidz

Wszędzie spotykał wygrawerowanych niebian, spolegliwych patronów jego nerwowych spacerów po ścianach, obronnych murach opuszczonych fortyfikacji. Flaga zatknięta na baszcie pokazywała zmienny kierunek, który urywał się na wałach, gdzieś na linii brzegowej. Smoła wody wypływała z nocy rozwieszanej między nawigatorami. Ciepło rozchodziło się bezgłośnie jak tlenek, zasypiał w kucki oparty o wydnię. Budził go blask ognisk palonych przez wartę nikogo. Światowidz nigdy nie oślepił w słońcu innej zony. Nie odjął mu zmysłów kronikarski obowiązek obserwacji. Wiele lat spędził jak czujka na dnie studni z uchylonym wiekiem. Resztę poświęcił zapieczeniu wieka.